Nr. 21. | Należ. poczt. opłac. ryczałtem | We Lwowie, 1. listopada 1928. | Rok 50.

ŁOWIEC

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 7·50 złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedyńczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 90 zł, 1/2 str. 50 zł 1/4 str. 30 zł, 1/8 str. 15 zł, 1/16 str. 10 złp., 1/32 str. 5 zł. -- Ogłoszenia wewnątrz tekstu o 50 % drożej.

Redakcja i administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p. (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godziny biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki, o godzinie 12-tej. Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. P. K. O. Konto Nr. 145.839. Telefon Nr. 18-59.

NR. 21. WE LWOWIE, 1. LISTOPADA 1928. ROK 50.



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

†

Generał broni

Tadeusz Jordan Rozwadowski

Członek Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego

zmarł dnia 18. października b. r. w Warszawie

Nad jednym z najzasłużeńszych synów odrodzonej Ojczyzny zamknęły się wrota grobowca. Na cmentarzu Obrońców Lwowa legł na wieczny spoczynek wódz wśród swych żołnierzy, legł obrońca „zawsze wiernego grodu“ i Wschodnich Rzeczypospolitej Kresów.

Lwów tłumnie odprowadził swego ukochanego bohatera na miejsce snu wiecznego, a licznie u mogiły zebrane rzesze prosiły Boga, by lekką Mu była ta przez Niego dla Polski wywalczona ziemia.

— —

Odszedłeś w zaświaty miły Towarzyszu łowów, stary wypróbowany Przyjacielu, po którym serdeczna pamięć w sercach naszych nigdy nie wygaśnie.

W wspaniały, jakby z czarownej wysnuty bajki dzień jesienny złotemi łzami cmentarne rozpłakały się drzewa. To przez nie polska żegnała Cię knieja, pęk zwiędłych liści na Twą rzucając mogiłę!

U jej wrót z bolem serdecznym żegnaliśmy Ciebie, pod sztandarem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego zrzeszeni myśliwi.

Żeś zawsze niezłomnie wierzył, iż nad Polską jasne roztoczą się zorze, niech duch Twój na wieki spocznie w Niebios utulony błękitach!

A. M.

SEWERYN KROGULSKI

PÓŁ WIEKU!

(Ciąg dalszy)

Okres od 1. XI. 1918 do dni jubileuszowych.

Po bohaterskiej obronie Lwowa, wyparciu zeń wroga i ostatecznem zlikwidowaniu inwazji rusińskiej na całej wschodniej połaci nieszczęsnego kraju — Małopolskie Towarzystwo Łowieckie niezwłocznie przystępuje do dalszej pracy na zniszczonym docna łowieckim zagonie.

Akcję tę podejmuje z żelazną konsekwencją i dąży wytrwale do zamierzonego celu tem usilniej, że tym razem czyni to już dla dobra odbudowującej się z gruzów Polski.

Zadanie to wszakże utrudnia niezmiernie brak pomocy „Łowca“, który dotychczas był rzecznikiem i propagatorem idei Towarzystwa, a w tej dobie właśnie został ubezwładniony siłą listopadowego kataklizmu.

Zanim więc wydawnictwo własnego organu zdołano wznowić, wszystkie sprawy ważniejsze, jakie Wydział wówczas załatwiał, n. p. memorjały wnoszone do władz i rozporządzenia tychże, podawano do wiadomości członków za pośrednictwem prasy codziennej, inne zaś bezpośrednio interesentom ustnie, pisemnie i niekiedy też drukiem w formie odezwy lub okólnika. W ten sposób ponownie nawiązywano przerwaną łączność z członkami oraz z ogółem myśliwskim i pchano taczkę pracy żarliwie wciąż naprzód.

Wśród ważniejszych komunikatów, zamieszczanych wtedy przez M. T. Ł. w prasie publicznej był jeden, którego w historji naszej pominąć nie wolno...

Oto gdy Ojczyzna nasza w roku 1920 w ciężkiej znalazła się potrzebie -- ogłaszamy dnia 23. lipca t. r. w „Kurjerze Lwowskim“ co następuje:

W obronie Ojczyzny!

Małopolskie Towarzystwo Łowieckie do myśliwych.

Pobudka!

„Na ziemi naszej — jak długa i szeroka — gromkie rozlega się rogów granie, dzwoniąc potężnie pobudkę na łowy najświętsze, bo na pogrom wroga Polski najcięższego!

I jak w roku 1914 na dźwięk tego rogu, który rozbrzmiewał z łamów „Łowca“ *), tak samo i dziś w zastępy obrońców Ojczyzny śpieszą myśliwi, towarzysze z pod znaku św. Huberta.

Zaciągając się jednak w szeregi armji luzem, toną w niej niespostrzeżeni, zatracając charakter typu strzelców-myśliwych o pięknych tradycjach sławnych oddziałów strzelców Kuszla - Kurpików, strzelców Grothusa lub Małachowskiego.

Celem więc wskrzeszenia w ochotniczej armji polskiej — analogicznej grupy bojowej — M. T. Ł. podało myśl tę do urzeczywistnienia brygadjerowi Mączyńskiemu.

Decyzja krótka. Brygadjer postanowił sformować z myśliwych pułk „Strzelców Rycerskich“, do którego wcieleni zostaną nietylko zgłaszający się świeżo ochotnicy-myśliwi, lecz również i ci wszyscy ich towarzysze, którzy w armji ochotniczej już służą.

Myśliwi! Kto Ojczyznę miłuje nad życie, a serce ma mężne, dłoń krzepką i oko wiekiem nie przyćmione — niech śpieszy niezwłocznie pod znak „Strzelców Rycerskich“, *) w obronie płonących kresów ziem ojczystych“.

Z Prezydjum M. T. Ł.

J. A. Bielski *S. Krogulski.*

Od r. 1919 do 11. czerwca 1920 Wydział M. T. Ł. odbył cztery posiedzenia.

Przedmiotem obrad były sprawozdania z czynności, zamknięcia rachunków, wnoszenie petycji o subwencję z funduszów państwowych na wydawnictwo „Łowca“ jako organu doradczego Rządu w sprawach gospodarki łowieckiej, zwalczanie band kłusowniczych i nadużyć popełnianych przez rozwydrzone indywidua cywilnego i wojskowego stanu, — dalej sprawy dotyczące wydzierżawiania prawa polowania przez Spółki łowieckie na terenach rustykalnych, zamykania polowań, odstrzału zwierzyny, mianowanie delegatów i ściąganie wkładek.

Poza tem wiceprezes hr. Bielski interwenjuje osobiście w Min. Rol. w sprawie uzyskania subwencji dla zagrożonego upadkiem Towarzystwa i jego organu „Łowca“.

Gdy jednak Rząd z przyrzeczoną pomocą bynajmniej się nie kwapi, a likwidacja tej niedocenianej dostatecznie instytucji staje, jak złe widmo, tuż przed oczyma — nieoczekiwanie na posiedzeniu dn. 26. marca 1920, dzielny członek Wydziału, Juljusz hr. Tarnowski, oświadcza gotowość podjęcia się zbiórki datków wśród członków i wyraża nadzieję, że o własnych siłach, jak dotąd, istnieć nadal będziemy. I natychmiast po tej deklaracji, myśliwi-dżentelmeni: J. A. hr. Bielski, St. hr. Mycielski i sam inicjator składają do rąk piszącego na akcję ratunkową po 1000 — łącznie 3000 koron.

Dowodem, jak zbawienne skutki inicjatywa hr. J. Tarnowskiego przyniosła, jest to, że istniejemy.

Przy tej sposobności wicepr. Krogulski zwraca się do Wydziału z prośbą, aby mu pozwolono nie obciążać funduszu Towazystwa wydatkiem, w kwocie 4.150 Mp., poniesionym przezeń na dwukrotny wyjazd do Warszawy — w charakterze delegata Wydziału — lecz uznać go w formie datku na akcję ratunkową**).

(C. d. n.)

*) Świadectwem o orjentacji G. T. Ł. w roku 1914 jest kwit Cen. Kom. Nar. l. 437/914, na K 2000, złożonych na Legjony i apel do myśliwych w nr. wrześniowym „Łowca“ z tegoż roku.

*) Wszystkie dzienniki polskie apel ten przedrukowały.

**) Interwenjował w Min. Rol. u szefa sekcji Miklaszewskiego i referenta łowiectwa Rożyńskiego w sprawie subwencji i ust. myśl., oraz w Tow. rac. polowania w kwestji wznowienia wydawnictwa czasopisma łowieckiego wspólnemi siłami z M. T. Ł. i opracowania nowej ustawy.

WITOŁD ZIEMBICKI

ALEKSANDER CHOLEWA UBYSZ

Pseudonim: **Simplicjusz Gawin.**

MYŚLIWY - GAWĘDZIARZ.

Wspomnienie. — Bibljografja.

(Ciąg dalszy).

Talent Ubysza objawił się nietylko w prozie.

Do najznakomitszych gawęd, jakie napisał, należy gawęda wierszem pod tytułem „W borze i klasztorze“. Jest to rzecz tak udana, że porównywano ją z utworami Wincentego Pola. [2])

Czy podobieństwo to jest przypadkowe?

Nie sądzę.

W pewnym okresie Ubysz znalazł się w bezpośredniej sferze wpływu Pola, a jak ten wpływ był silny, wiadomo; wszak powstała cała generacja „Polistów“. Ubysz już dawniej musiał znać Pola i jego utwory. Nie było przecież wówczas jednego dworu szlacheckiego w Małopolsce, gdzieby nie odczuwano adoracji dla Pola. Przyszła jednak chwila, kiedy Ubysz wszedł w osobisty, ściślejszy kontakt z wielkim poetą.

Dowód na to znachodzimy we wstępie do pracy „Na błotach bełzkich“. Czytamy tam (Łowiec 1882, str. 10) dosłownie:

„Los kapryśny rzucił mię tam, gdzie być nie chciałem, gdziem się być nie spodziewał — na bruk miejski. Ale młodość moją spędziłem śród przyrody, jej powabów i uroków, które mnie już w dziecinnych latach magnetyczną siłą ciągnęły ku sobie. Zawszem pragnął wnikać w jej tajniki, toż z dziecinną, później młodzieńczą ciekawością wdzierałem się dla zaspokojenia tej ciekawości i pragnienia rozszerzenia wiedzy nawet tam, gdzie przystęp najeżony był trudnościami prawie nie do pokonania. Rozkoszą było dla mnie przełamywać takie zapory, sięgać do głębi istoty rzeczy, badać ją wszechstronnie. Następnie podniętę do badania tajników przyrody zawdzięczam nieśmiertelnemu wieszczowi naszemu, Wincentemu Polowi, który w swobodnej gawędzie tyle wobec mego ducha odsłonił czarów przyrody, iż ukochałem ją i rozmiłowałem się serdecznie w jej tworach. Nieraz skromny lektor długie godziny spędzał w towarzystwie ociemniałego poety w miłej i nauczającej pogawędce, a zawsze prawie tłem jej były uroki natury, zwłaszcza rodzinnej. Wspomnienia tych chwil były zawsze dla mnie zachętą, do szukania życia i prawdy tam, gdzie one w całej pełni występują — w przyrodzie. Nasłuchałem się dosyć w życiu o wspaniałości i grozie puszczy Białowieskiej, o stepach Krymskich i ukraińskich, o cudach i skarbach przyrody. Uchyleniem rąbka jej potęgi zapalił się mój umysł młodzieńczy, rozżarzyła się iskra wyższego polotu w mej duszy, obudziło się gorące pragnienie rozszerzenia wiedzy. Toż chciwie czytałem opisy podróży, odkryć w dziedzinie przyrody — cokolwiek mi było dostępnem. Tak wszedłem na ową drogę, która dziś jeszcze dla mnie jest najmilszą, nie zboczę z niej i do śmierci uczyć się pragnę z otwartej księgi przyrody“.



ALEKSANDER UBYSZ
i jego małżonka, MARJA Z NIESIOŁOWSKICH

Dowiadujemy się więc, że Ubysz był lektorem Pola. Było to widocznie w czasie, kiedy poeta, zagrożony wskutek katarakty utratą wzroku, coraz bardziej zaczął zapadać na oczy. Ponieważ zaś, jak wiemy, we Lwowie osiadł w r. 1859 a opuścił go w r. 1867, udając się do Krakowa na operację swej zaćmy (która, nawiasem mówiąc, nie powiodła się), możemy skąd wywnioskować, w jakim okresie przyszło do bliższej znajomości między Ubyszem a Polem.

Z wymienionego ustępu dowiadujemy się wszakże i innych rzeczy, dla charakterystyki Ubysza ważnych.

Jest to niejako jego *credo*.

Mamy w niem wytłumaczenie całej jego twórczości. Życie na wsi, użycie swobody chłopięcej w atmosferze dawnej tradycji ziemiańskiej, rozbudziło w nim za młodu zamiłowanie do przyrody, która dziwiła go swą tajemniczością i czarowała swym nieprzepartym urokiem. Tło było gotowe. Wrodzony zmysł obserwacyjny i zdolność utrwalania w pamięci obrazów czy to przeżytych, czy opowiedzianych, złożyły się na bogaty zasób treści, która na tem tle powoli zaczęła się układać, kształto-

[2]) Zobacz niżej list Kamockiego.

wać, rozrastać. Przyszedł wpływ Pola, jego utworów, jego osoby. Pod tym wpływem talent Ubysza buchnął płomieniem. Trzeba sobie uprzytomnić, że w czasie, kiedy Ubysz zbliżył się do Pola, przygotowywał się do druku i wyszedł niebawem (1870) „Rok myśliwca“ i że ostatnim poematem Pola, dyktowanym już przez ociemniałego poetę w Krakowie był „Starosta Kiślacki“ (wydany w rok po śmierci Pola, t. j. w r. 1873). Oba te poematy, tak pokrewne ulubionym tematom Ubysza, musiały wywrzeć na nim przemożne wrażenie. Kształtujący się kierunek twórczości jego doznał nowego bodźca, który go zaprowadził aż do naśladownictwa „Starosty Kiślackiego“ i napisania wierszowanej legendy „W borze i klasztorze“, n. b. dedykowanej Polowi. Nawet ten tytuł jest, może świadomem, naśladownictwem użytego przez Pola dawniej, dla jednego z utworów tytułu: „Z klasztoru i boru“. Wpływ Pola na Ubysza zaznacza się, być może i w pewnem upodobaniu do kreślenia obrazów krajoznawczych. (N. p. „Z Podola r. 1889“, „Łowiec“ 1889).

Si parva licet componere magnis, moglibyśmy powiedzieć, że czem był Pol w literaturze pięknej, tem Ubysz był w łowieckiej. Przypomnijmy sobie, co pisał Maurycy Dzieduszycki o Polu, [3]) charakteryzując go jako poetę-gawędziarza:

„Poznał przeszłość nietylko z kronik, ale z żywego słowa tradycji, z postaci żywych, które mu powiedziały więcej niż martwe karty kronik“. „Styl jego napozór zaniedbany, ma właściwe sobie cechy, a najwyższą zaletę, że jestto język szczeropolski, pełen barwy, zwrotów i wyrazów już dziś zapomnianych, chociaż zrozumiałych“. „Pol nie naśladując nikogo, jest zupełnie oryginalnym, stworzył w literaturze naszej nowy rodzaj, jakiego inne literatury nie mają, a odpowiadający narodowemu charakterowi, skąd poszło, że każdy jego utwór był zaraz po jego ukazaniu się skwapliwie rozchwytywanym, że pieśniarz i gawędziarz, silny sercem i fantazją, a odgadujący intuicją to nawet, czego nie widział i o czem nie słyszał, stał się poniekąd popularniejszym, jak niejeden może z wyższych i głębszych od niego geniuszów“.

Mutatis mutandis możemy to zastosować do Ubysza, jako pisarza łowieckiego.

Ubysz obok swego nazwiska używał jako autor także pseudonimu: „Gawin“, Podpisał tym pseudonimem cały szereg utworów, tak w „Łowcu“, jak gdzieindziej. „Gawin“ jest to przydomek rodziny Niesiołowskich herbu Nałęcz, z której pochodziła jego żona. Pod tym pseudonimem wydał m. in. swą znakomitą gawędę „W borze i klasztorze“. W tym wypadku dodał nadto do pseudonimu „Gawin“ imię „Symplicjusz“. Spotkaliśmy także podpis „N.“ („Wilja Bożego Narodzenia na Otrycie“ Łowiec 1883). Może ma to być litera początkowa imienia herbowego żony, Nałęcz.

[3]) Życiorys W. Pola w pierwszem wydaniu zupełnem dzieł poety: Dzieła prozą. Tom IV. Lwów 1877.

Życiorys Ubysza możemy reprodukować z następujących źródeł:

1. z jego własnych pism;

2. z korespondencji jego przyjaciela p. Józefa Kamockiego pod tytułem: „Posłanie przyjacielskie“, [4]) w której czytelnikom „Łowca“ donosi o jego chorobie;

3. z nekrologu umieszczonego w „Łowcu“; [5])

4. z informacyj, odnoszących się do stosunków rodzinnych, a udzielonych mi łaskawie przez pana Józefa Brandysa, jednego z żyjących krewnych ś. p. Ubysza.

Aleksander Ubysz herbu Cholewa urodził się w r. 1832 w majątku rodzinnym Ostobuż, w ziemi bełzkiej, powiecie Rawa Ruska. Rok urodzenia wynika m. i. ze szczegółu, podanego przez samego Ubysza („Zając lekarzem“), że w r. 1847 zapadł na febrę, mając wtedy lat 14. Tamże jest mowa zarazem i o tem, że był wówczas w szkołach we Lwowie, skąd go ojciec zabrał z powodu choroby na wieś do Kamienopola. Ojciec, Józef Ubysz i stryj Feliks Ubysz, wspomniani są w pracy p. t. „Opowiadanie starego Poraja“, z którym to Porajem [6]) w r. 1807 jechali ze Lwowa do szkół w Zamościu, należącym wówczas, jak wiadomo, do zaboru austrjackiego. Miejsce rodzinne Ostobuż opuścił Aleksander we wczesnej młodości, jak o tem pisze w obrazku „Reb Duwid“:

„Już to my, Polacy, jak żaden naród inny, odznaczamy się gorącą miłością stron rodzinnych, do nich eż, jeżeli nie faktycznie, to przynajmniej myślą, jak muzułmanin do Mekki, żyd do Jerozolimy, skwapliwie dążymy. Tak też i ja, choćby z najdalszych stron, do których mnie los zapędził, chętnie spieszyłem do ziemi Bełzkiej, do wsi Ostobuża, gdzie stał jeszcze domek mój rodzinny, lubo dawno już bardzo ojciec mój go opuścił.“ Dowiadujemy się, że w Ostobużu mieszkał stryj Aleksandra (Feliks), do którego jeździł z Kamienopola (pod Lwowem), przebywając tę 9-milową drogę na „kasztance“ w jednym dniu.

Kamienopol nabył jego ojciec od hr. Miączyńskich“. [7])

O ojcu wspomina, że był dobrym i zapalonym myśliwym („Tanas“), przypomina m. i., jak w zimie r. 1853 polował w jego towarzystwie z chartami. Ubolewa nad rozporządzeniem rządu austrjackiego z r. 1849, mocą którego wszelka broń, a więc i myśliwska, była ludności odebrana, co też spowodowało, że namiętności myśliwskiej czynił zadość pokryjomu, na niedostępnych „błotach bełzkich“ (1852) w towarzystwie kłusownika Wasyla („Na błotach bełzkich“). W r. 1855/1856 służył wojskowo na Węgrzech („Na błotach“ — „Jeleń“ — „Kniaź kłusownik“). W r. 1856 przesiedlił się z ojczystego gniazda (Kamienopol) do Meteniowa w złoczowskiem („Plaga podolska“). W r. 1859 odbył kampanję włoską. [8]) W powstaniu styczniowem wziął czynny udział, [9])

[4]) „Łowiec“ 1890, str. 125.

[5]) „Łowiec“ 1890, str. 159.

[6]) Był to p. Adam Zbożek z Woronowa (podaje p. Brandys)

[7]) Wiadomość od p. Brandysa.

[8]) Kamocki l. c. „Łowiec“ 1890.

[9]) Kamocki j. w i. nekrolog j. w.

poczem wraz z bratem Edwardem wyjechał w Sanockie.[10]) Podaje, że lat kilka mieszkał też w Samborskiem, gdzie był posiadaczem części dóbr Turze („Pan Prefekt“), a w r. 1868—1870 w Przemyskiem („Na błotach“). Naturę miał szczerą, prostą, uczuciową. Uczuciowość jego objawiała się n. p. w przykrości, jakiej doznawał, gdy przyszło się z kim rozstawać. Razu pewnego pisze („Pan Prefekt“):

„Wszelkie pożegnania są dla mnie nader przykre. Słusznie powiedział hr. Leopold Starzeński:

„Niech mu kolką w boku stanie,
Kto wymyślił pożegnanie.“

Aleksander Ubysz urodzony był z Teofili z Podoskich. Z pośród czworga rodzeństwa: Marji Rakszewskiej, Teofili Ubyszównej, Aleksandra i Edwarda, przy majątku Kamienopol i Podborce, utrzymał się najstarszy z rodzeństwa, Edward. Edward ożenił się z Wincentą Załęską, córką Stanisława i Marji z Niesiołowskich z Iskani, a Aleksander z Marją Niesiołowską, córką Anzelma i Józefy z Truskolaskich, właścicieli dóbr Sokole i Teleśnica sanna w pow. Liskim. Po niefortunnej gospodarce na roli, zamieszkał wraz z żoną we Lwowie, gdzie przez czas jakiś zajęty był w dziale administracyjnym Teatru hr. Skarbka. Tu wszedłszy w kontakt z licznymi literatami i artystami lwowskimi, zaczął próbować sił swoich na polu literackiem.[11]) „Wyobraźnię swoją wzbogacił — jak podaje dalej p. Brandys — opowieściami myśliwskiemi w takich dworach, jak Łączyńskich w Kutkorzu, Dzieduszyckich w Poturzycy, albo też wśród rodziny swej żony, u Niesiołowskich, Truskolaskich, Krasickich. A wiadomo, że u tych to Truskolaskich w Płonnej zaczerpnął natchnienia do swoich opowiadań o ziemi sanockiej Kaczkowski, w Lisku zaś, u Krasickich, Wincenty Pol do opowieści o Mohorcie. Wiele utworów Aleksandra Ubysza przepadło i nie zostało wydanych, do czego niemało przyczyniła się mizerja, wśród jakiej spędził ostatnie lata we Lwowie, pogrążony poprostu w biedzie wraz ze swą małżonką. Mimo tego humor jego tryskał prawdziwemi perłami dowcipu.“

Wiadomem wreszcie było i jest w rodzinie śp. Ubysza, że był on wielkim wielbicielem Wincentego Pola, z którym nadto był spowinowacony przez Podoskich.

Ubysz zapadł na zdrowiu w r. 1888. Sam o tem wspomina w artykule „Z moich wycieczek 1886—1888“ („Łowiec“ 1888). Już chory wędrował po okolicach, które tak był ukochał i które z takim zapałem opisywał. Z jakąż boleścią maluje wrażenie, wywołane widokiem dawnych „błot bełzkich“, które osuszone po największej części, przestały istnieć. Upamiętniona przez niego leśniczówka „Na Zielonej“, stojąca niegdyś w sercu kniei — teraz, o dziwo, — znalazła się na skraju lasu. I to jakiego lasu! Wszystko w koło legło pod toporem... Lekarz zalecił mu pobyt w borach sosnowych. Jedzie więc w swe strony rodzinne, dawno nie odwiedzane, a jedzie — po raz pierwszy w te strony koleją żelazną. Z okien wagonu poznaje krajobraz, lub go nie poznaje. Coś, jakby choroba jego organizm tocząca, udzieliła się bujnej niegdyś przyrodzie i strawiła do niepoznania te miejsca, pełne młodzieńczych wspomnień i uniesień.

Ale pióra z ręki nie wypuszczał. Jak to bywa w piersiowej chorobie, łudził się pewnie do końca.

Wtety to przyjaciel jego p. Józef Kamocki. jakby smutnem przeczuciem wiedziony, umieścił w „Łowcu“ następujący list pod tytułem „Posłanie przyjacielskie“ [12]):

„Od dłuższego już czasu leży na łożu boleści sympatyczny wasz i gorliwy współpracownik Aleksander Ubysz. Ukochawszy gorąco ojczystą przyrodę i żywot łowiecki, odtworzył on je w licznych a barwnych opowiadaniach, rzeźbił postacie jakichś pastuszków ogorzałych, siedzących kupką na wygonie, jakichś upartych myśliwych, w tradycyjnej „mandynie“ z nad Sołokii, co kulejąc, przeskakują z kępy na kępę, opierając się na powiązanej sznurkami strzelbinie, -- to przenosi nas pod „Otryt“ i na „Połoniny“ i zaznajamia znowu z łowcami co strącają ziarnka prochu od uroków, a krzyżem świętym się znaczą, celując. Nie rzadko spotyka się w jego opowiadaniach i szlachcica z sumiastym wąsem, komenderującego w knieji, jakby na bagnety, i Reb Duwida, tylko w Polsce możliwego i leśniczego i księdza, zapalonego łowcę i „Marcinka“ i pobereżnika i chłopa kłusownika — jednem słowem całe nasze społeczeństwo, które żyje życiem prawdziwem, pełnem niewyszukanej malowniczości. Nadzwyczaj wiele tam prawdy, bo twórca tych postaci sam wiele ciężkiego w życiu swem przebył, sam dużo doświadczył.

„Młodość była mu częstokroć padołem łez i goryczy. Dusza rwała się do czynu, ale ptak i z najszerszem skrzydłem nie wzleci, mając nogi splątane. „W młodości mojej Pan mię poddał próbie“ śpiewał spłakany. W młodości też swojej próbował w pieśni żal swój i myśli wylewać.

„Zmuszony nieprzyjaznemi okolicznościami odbył włoską kampanję w r. 1859. Za kord chwycił, kiedy miła Ojczyzna synów swoich na pomoc wzywała i stanął w szeregu jej obrońców, ocierając z pleśni tarczę herbową. I żyjemy leszcze, którzy widzieliśmy, jak odważnie szedł w ogień, przodując szczupłej drużynie.

„Urodzony w domu dostatnim, wyszedł z działu familijnego, a nawet teraz, tak długo powalony na łoże boleści, pozostaje bez pomocy i może trapi się o chleb powszedni... A przecież ma on zasługi, o których nie mogą tak prędko zapomnieć ci, co się opowiadaniami jego lubowali i lubują. Jego gawęda wierszem „W borze i klasztorze“ zyskała sobie chlubne świadectwo Adama Pługa, który porównywał ją z gawędą Pola „Starosta Kiślacki“ i oddawał jej wielkie zalety.

„Tych słów kilka niech mi będzie wolno umieścić w „Łowcu“, któremu Aleksander Ubysz już kilkanaście lat służy i nawet chorobą złamany jeszcze pióra nie wypuszcza z ręki. Przyjmijcie łaskawie te wyrazy od przyjaciela jego młodości i druha w miłości dla Ojczyzny — od kolegi z kampanji włoskiej, pod skwarnem słońcem południa i towarzysza w wyprawach z tymi, co to „poszli w bój bez broni“. Józef Kamocki.

Pod tą korespondencją redakcja „Łowca“ umieściła dopisek, z którego dowiadujemy się, że Ubysz powrócił do swego mieszkania we Lwowie. Tutaj umarł dnia 11. września 1890, przeżywszy lat 58 i pochowany został na cmentarzu łyczakowskim.

„Łowiec“ z dnia 1. października przyniósł wspomnienie pośmiertne[13]), z którego przytaczamy ustępy następujące:

---

[10]) p. Brandys.

[11]) Szczegóły te zawdzięczam p. Brandysowi.

[12]) „Łowiec“ z dnia 1. sierpnia 1890, str. 125 pod datą: Z Podola, dn. 15. lipca 1890.

[13]) Str. 159.

„Świat łowiecki i przyrodniczy utraciły w zmarłym jednego z najgorętszych miłośników przyrody i myślistwa, literatura łowiecka pisarza, wyposażonego taką bystrością spostrzegawczą i takim darem obrazowania i charakteryzowania tego, co widział, że nie wnet znajdzie się następca, którby z równym talentem mógł władać piórem, co wypadło z martwej dłoni śp. Ubysza.

„Wszystko niemal, co śp. Aleksander napisał, znalazło miejsce w „Łowcu“, a długoletni czytelnicy naszego pisma zawdzięczają mu niejedną miłą chwilę, gdyż razem z nim patrzyli się niejako na różne okolice kraju naszego, na udatne sylwetki zwierząt łownych, na te żywe typy, które gromadziło i gromadzi około siebie życie łowieckie. Niejedno wyrażenie, przejęte od starych myśliwych lub podsłuchane z ust ludu, zawdzięcza mu swe uprawnienie w języku piśmiennym i wzbogaciło obfitą naszą nomenklaturę łowiecką.

„Śp. Aleksander pisał do ostatniej chwili, a ciężka choroba piersiowa nie mąciła ani pamięci, ani wyobraźni, lecz owszem zdawała się talent jego potęgować. Z czasu tego pochodzi obszerniejszy, a znany naszym czytelnikom obrazek „Marcinek“, w którym autor stanął może najwyżej pod względem spokoju a siły i barwności w malowaniu szczegółów i całości minionych już obrazów naszego życia wiejskiego. W dzisiejszym numerze podajemy drobniejszy szkic, ostatnią pracę zmarłego, opartą na własnem wspomnieniu [14]). Zaczął pisać jeszcze jedną dłuższą rzecz: „Na kapitanówce“ — lecz już jej skończyć nie zdołał...

„Rzucamy więc kwiat niezagasłej pamięci na mogiłę wiernego i dzielnego druha...“

[14]) Zając lekarzem“.



Grób śp. Ubysza i Jego małżonki na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie.

W uzupełnieniu należy dodać, że w tece pośmiertnej znaleziono nadto utwór pod tytułem: „Opowiadanie starego Poraja“, ogłoszony potem drukiem w „Łowcu“ w r. 1891. Kiedy w r. 1903 drukowała redakcja „Łowca“ dłuższy artykuł retrospektywny: „W dwudziestopięcio letnią rocznicę“ (istnienia czasopisma), nie omieszkano przypomnieć w nim wiernego współpracownika, jednego z tych najświetniejszch, po których powstałe luki nie zostały już zapełnione. [15]) W następnym roczniku [16]) ukazała się reprodukcja jego fotografji z lat młodych, prawdopodobnie z okresu powstańczego.

Do niniejszego wspomnienia dołączamy podobiznę fotografji, przedstawiającej ś. p. Ubysza wraz z małżonką, nadto ich grobu z cmentarza Łyczakowskiego. Na nagrobku wyryto: „Tu spoczywa Aleksander Cholewa Ubysz, kapitan wojsk polskich z 1863 r., przeżywszy lat 58. Zmarł 11. września 1890. Pokój Jego popiołom.“

(Dok. nast.)

[15]) „Łowiec“ 1903, str. 280.
[16]) „Łowiec“ 1904, str. 5.

Z pism markiza de Foudras:

JELEŃ ARDEŃSKI

(Legenda).

Marquis de Foudras, znakomity myśliwy i autor francuski z pierwszej połowy XIX. wieku, pisał powieści, szkice i opowiadania, — wszystko oparte na motywach łowieckich. Zbiorowe wydanie jego utworów, obejmujące 15 tomów, wyszło przed 3 laty staraniem i nakładem firmy księgarskiej E. Nourry w Paryżu. W opowiadaniu: „Les Veillées de St. Hubert“ (I. série, p. 284) znajduje się fragment pod tytułem: „Le Cerf des Ardennes“, przedstawiający jeden z warjantów legendy o Św. Hubercie. Podajemy go, z upoważnienia wydawcy, w przekładzie.

W. Z.

W połowie VII. wieku, za pontyfikatu papieża Sergjusza I., żyło w pobliżu miasta Maestricht dwóch braci, do najznakomitszych rodów w kraju się zaliczających. Młodzi, piękni i bogaci, zdolni i odważni, prowadzili życie wesołe, nie kłopocząc się nigdy tem, co było wczoraj, nie troszcząc się nigdy o to, co będzie jutro. Ale chociaż żaden z nich jeszcze nie przekroczył lat dwudziestu, już powszechnie skarżono się na ich szalone wybryki. Niejednemu małżonkowi, nie jednej matce przyszło opłakiwać chwilę, w której młodzianom tym udzielono gościny. Czy zamek, czy strzecha, wszystko było jedno.

Na imię miał jeden Hubert, drugi Rymbald.

Obaj oddawali się przedewszystkiem namiętnie myślistwu.

Cały czas wolny od miłostek, spędzali w puszczy i uganiali po niej w dziesięć i piętnaście mil wkoło, na czele wspaniałej zgraji psów gończych, którym przy tak dzielnych panach niczego do szczęścia nie brakło. Kiedy ich róg zabrzmiał ze szczytu pagórka, czy z głębi parowu, jelenie i łanie chroniły się w najgłębsze ostępy; ale i mniszki drżały na całem ciele na ten odgłos, nie było bowiem tak tęgich murów klasztornych, za któremi czułyby się bezpieczne; przerażone matki nie umiały znaleść dostatecznego ukrycia dla swych córek.

Huberta i Rymbalda bawił ten popłoch. Wiedzieli oni dobrze, że ich psy dojdą zwierza wszędzie, gdziekolwiekby szukał schronienia; wiedzieli, że żaden z mieszkańców nie ośmieli się wrót przed nimi zawrzeć, gdy pod jakimbądź pozorem do nich zakołacą. Wszak byli zbyt pewni swej mocy, — oni, najwięksi panowie i niepodzielni władcy swego kraju.

Pewnego dnia jesiennego, Hubert i Rymbald wraz z orszakiem ludzi, koni i psów, zjawili się przed bramą

pustelni, w której garstka bogobojnych niewiast pędziła, z dala od świata, na modłach i rozmyślaniu, żywot świątobliwy. Młodzieńcy, mając nazajutrz polować w lesie Ardeńskim, zażądali noclegu. Wzbraniały się co prawda mniszki zrazu wpuścić do środka hałaśliwą kompanję, ale opór był daremny. Hubert i Rymbald znaleźli taką groźbę, że nie pozostawało nic innego, jak otworzyć wrota na oścież. Sprawiedliwość każe przyznać, że starszy z braci, Hubert, powstrzymywał się czas jakiś od wybryków, a nawet starał się wpływać mitygująco na resztę towarzystwa. Niebawem jednak i on uległ działaniu wina, należącego zawsze do nieodzownych zapasów wyprawy. Nastała tedy w tem ustronnem schronisku noc okropna. Noc orgji, pijatyki i bezecnych spiewów, zakończona wyuzdanemi tańcami na małym, cichym cmentarzyku pustelniczym i hańbieniem grobów. Dopiero dzień wstający położył kres gwałtom i przemocy. Trzeba było ruszać na łowy. Wtedyto, gdy już bracia, dosiadłszy koni, opuszczali nieszczęsne domostwo, stara mniszka stanęła w progu i rzuciła na nich straszliwą klątwę. Odpowiedziano jej wybuchem śmiechu...

Zaczęło się polowanie. Psy, puszczone w las Ardeński, ruszyły niebawem wspaniałego jelenia.

Gon szedł przez góry i doliny. Jeźdzcy przezwyciężali wszelkie przeszkody, rzucali się wpław przez rwące potoki, tak, że wreszcie cały orszak pozostał daleko w tyle, a tylko dwaj bracia, którym nikt nie mógł sprostać w zręczności i odwadze, rwali wciąż naprzód i naprzód.

Kiedy już słońce pochyliło się ku zachodowi, jeleń, śmiertelnie znużony, nie mogąc dłużej ratować się ucieczką, w głębi wielkiego jaru stawił czoło psom i zaczął się bronić. Dzielne zwierzę, oparłszy się zadem o skałę, postanowiło drogo sprzedać swe życie. Oto już psy, co najgorętsze, leżą bez tchu i krwawią ziemię, inne czołgają się, liżąc głębokie rany. Rymbald dobywa krótkiej, a mocnej szpady, zsiada z konia i rusza psom na ratunek.

„Bracie mój! bracie! — woła nagle Hubert. zeskakując również z konia — nie zabijaj go, na nieba! bo stanie się nieszczęście!“

„Co tu mówić o niebie — odparł Rymbald — ja ci zaręczam na piekła, że zwierz ten zginie z mej ręki!“

„Bracie! Patrz! Czy nie widzisz? Krzyż jasny nad łbem jelenia! Świecący krzyż w jelenim wieńcu! Na duszę matki, skrzyknij psy, uchodźmy na miły Bóg i szukajmy oczyszczenia w pokucie!...

Rymbald odpowiedział okrzykiem bluźnierstwa i z gołą bronią rzucił się na jelenia.

„Panie! miej litość nad nim!“ zawołał Hubert, padając na kolana.

W tej chwili jeleń skoczył z furją na napastnika i jednem uderzeniem rogu w pierś powalił go na ziemię, poczem jął go tratować stalowemi racicami.

Hubert chciał biec na pomoc, ale niewidzialna siła trzymała go w miejscu, gdzie klęczał. A gdy się w końcu podniósł, ciało Rymbalda było już tylko bezkształtną, zbroczoną masą, zmieszaną z błotem. Wtedy usłyszał głos wołający: „Hubercie! Hubercie! Pan miał litość nad tobą, ty miej litość nad swą duszą.“

Jeleń stał nieruchomy, z krzyżem świetlistym pomiędzy rogami...

Wkrótce nadbiegać poczęli zewsząd myśliwi ze świty, pędząc co koń wyskoczy na głos psów, które wyły przeraźliwie, jakby dotknięte szałem. Zniekształcony trup Rymbalda leżał w kałuży krwi. Huberta nie było...

Wołano, trąbiono w całej puszczy — nadaremnie! Odpowiadało tylko echo...

W 60 lat później świątobliwy biskup umarł w Maestricht. Chorzy i nieszczęśliwi tłumnie na tę wieść zewsząd dążyli, przed zwłokami jego się korzyli, a miały one tę moc cudowną, że kto się ich dotknął, odchodził zdrów i pocieszony.

Był to Hubert, dzisiejszy patron myśliwych.



Znakomity przyrodnik, autor i myśliwy, p. Janusz Domaniewski, z ubitym na rykowisku w Tatrach jeleniem, nieprawidłowym 18-akiem (9—7). Jeleń został wypchany dla Muzeum Tatrzańskiego w Zakopanem. Rykowisko w roku bieżącym wypadło w Tatrach kapitalnie. Po polskiej stronie ryczało jednak tylko 6 byków.

ADAM STADNICKI

PRAWO ŁOWIECKIE.

Nowa ustawa łowiecka ogłoszona w Dzienniku Ustaw Nr. 110 z dnia 14. grudnia 1927, zawiera niektóre postanowienia względnie niedomówienia wymagające wyjaśnień i uzupełnień.

Proszę o wyjaśnienie tych punktów, względnie o ogłoszenie mych uwag w „Łowcu", w celu wywołania dyskusji.

Otóż Art. 47. zabrania polować przed wschodem i po zachodzie słońca, — między wyjątkami niema kozła-rogacza. Jak sobie ustawodawca wyobraża wobec tego postanowienia polowanie na rogacze w lecie, t. j. podchód, czy podjazd, czy na wychodnego? Wszak wiadomo, że rogacze wychodzą bardzo późno wieczorem względnie bardzo wcześnie rano, z reguły przed wschodem słońca i po jego zachodzie. Te chwile przed wschodem słońca są dla nas, prawdziwych myśliwych, bodaj najpiękniejszemi w życiu, gdy wśród mgieł przyziemnych z brzaskiem dnia letniego, przed nastaniem dnia upalnego — porzuciwszy miękkie łoże, lub kolebę czy szałas myśliwski, podchodzimy na łąkach, zrębach, czy polanach zwierzynę gotującą się po uczcie nocnej na spoczynek dzienny w niedostępnych dla oka myśliwego gąszczach.

A przecież nie wszędzie, gdzie są jelenie, odbywa się rykowisko, — nie każdy myśliwy i hodowca bywa na te gody nad godami wezwany, — a przecie musi mieć możność spotkania i odstrzału w swoich, nieraz kilka tysięcy ha mierzących rewirach, jelenia — a czasem jedynym na to sposobnym jest znów wczesny ranek lub późny wieczór — wiadomo bowiem każdemu, jak ostrożnym jest t. zw. „Feisthirsch", i jak wysokiej klasy jest polowanie na niego!

Pod polowaniem rozumie zresztą ustawa według art. 2. także tropienie zwierzyny, — więc biorąc ściśle, nie wolno przed polowaniem zimowem otropić ostępów, aby skonstatować, w których zwierz zaległ — przed wschodem słońca — co, wobec krótkości dnia zimowego, a wielkich nieraz odległości w górach, czyniłoby tropienie i polowanie wogóle niemożliwem.

Nie rozumiem zresztą celu tych zakazów — przecież myśliwy - hodowca, strzelający w własnym okręgu do kapitalnego kozła, którego po kilku mozolnych podchodach nareszcie na zrębie podszedł — po zachodzie słońca — szkody w zwierzostanie nie zrobi; a kłusownik ani o porę dnia ni roku, o płeć ni wiek zwierzyny, na którą, nie zważając na ustawę, sidła nastawia — nie dba, byle tylko mięso, na które jest łakomy, posiąść. Myśliwym dbałym o zwierzynę, nie potrzeba takich przepisów — natomiast potrzeba drakońskich praw na kłusowników.

Oznaczając legalności i nielegalności polowania przed, czy po zachodzie słońca, nie zwrócił ustawodawca i na to uwagi, że w dniu pochmurnym wogóle trudno jest nieraz zorjentować się, czy słońce już zaszło, czy nie, a światło odpowiednie do strzału tak dobrze przez Niemca „Schusslicht" zwane — trwa znacznie dłużej, niż bieg tarczy słonecznej po firmamencie. W razie słoty trzeba chyba zanotować sobie podług kalendarza, czy gazety czas wschodu, czy zachodu słońca, a podchodząc

---

WŁADYSŁAW GÜRTLER

Batory w Niepołomicach

(Łowy turze)

(Fragment)

Ciąg dalszy.

Leśną ścieżyną posuwał się ostrożnie i powoli niewielki orszak myśliwych. Prowadził stary Pisanka, za nim tuż postępował król i najbliżsi, wybrani jego towarzysze. Pochód zamykała uzbrojona w samopał Justyna.

W pewnej chwili zatrzymał się przewodnik i wskazał palcem na odciski szerokich racic, odbite wyraźnie w wilgotnym gruncie. „Tędy przechodziły tury, szeptał, to ich droga... jedna sztuka, dwie, trzy i więcej... Leżą niedaleko w gąszczu. Gdy je ruszymy i napędzimy, muszą przechodzić obok tej kępy drzew... Wasza Królewska Mość raczy stanąć za tą, oto jodłą! Inni Ichmościowie pójdą zamną dalej na wyznaczone stanowiska!"

Król został z pacholikiem...

Cicho, jak duchy, poszli drudzy i znikli. Tylko jedna osoba odłączyła się od nich i stanęła za karłowatą sosenką w pobliżu króla...

Po dobrej chwili odezwała się raz i drugi trąbka

Jej srebrzysty, niski głos biegł po puszczy, budząc tysiączne echa.

Brodaty łoś, czy czujny jeleń — obudziły się na dźwięk nieznany a groźny i przerwały drzemkę, a strzygąc łyżkami, pilnie nasłuchiwały...

Wstać się im jeszcze nie chciało...

Śpiące w bagnie dziki także się zbudziły, podsłuchiwać poczęły i patrzeć na siebie z trwogą małemi ślepkami.

Na obszernej polanie, okolonej zwartym gąszczem i odosobnionej, drzemały tury... Kilka krów z cielętami i stary byk, stróż rodziny i jej pan wszechwładny, leżało na kwitnących wrzosach i trawiło zjedzoną w nocy paszę.

Głos trąbki wzniecił niepokój w stadzie...

Po czasie szczekanie psów się rozniosło i rozległ się nagle piekielny hałas nagonki. Tury wstały ciężko; wydało się im, że gon idzie wprost na nie. Strzepały z siebie rosę obfitą i czekały na dalsze wypadki... Stadnik tylko ruszył odważnie naprzeciw gonu, by zbadać niebezpieczeństwo... i skarcić śmiałków, co śmieli spoczynek mu przerywać, co ważyli się wkraczać w jego pielesze. Gdy jednak straszne, ludzkie głosy i gwizdy już niedaleko słyszeć się dawały, gdy ich było aż tak

rogacza, baczyć ciągle na godzinę, by wiedzieć, czy ustawa pozwala jeszcze na strzał czy nie — bez względu na światło — i może zdarzyć się, że myśliwy, przekonawszy się, że „godzina policyjna“ nadeszła, odejdzie, zostawiając rogacza w spokoju, ale przed opuszczeniem lasu usłyszy daleki strzał kłusownika, który pod osłoną nocy tego samego rogacza siekańcami zamorduje.

Jakież pole do sekatur może dać ten art. 47. ustawy, wszak każdy chłop, sąsiad nieżyczliwy, organ policji a nawet kłusownik — może usłyszeć z oddali mój strzał na rogacza, skonstatować wedle zegarka, że padł n. p. 5—10 minut po zachodzie słońca, donieść do Władz i spowodować dotkliwe ukaranie, w swoim rewirze i według wszelkich zasad łowieckich wykonującego prawo polowania, myśliwego! Czy to słuszne? — Czy Wydział M. T. Ł. o tem myślał i nie starał się zmienić postanowienia art. 47-go? Możeby jeszcze teraz była sposobność po temu?

O rysiu, tym tygrysie naszym, ustawa milczy — czy i kiedy ma ochronę? Czy traktować go na równi z wilkiem, czy niedźwiedziem? Dla myśliwych, u których ten felida jest stałym mieszkańcem, jak u podpisanego, jest to kwestja dość ważna.

Niema też mowy w ustawie **o enklawach** — a jest to przecie przy naszej fatalnej komasacji, sprawa pierwszorzędna.

Są okręgi samoistne, powyżej 100 ha i okręgi wspólne; jeżeli wśród własnego okręgu (czy obwodu) znajduje się n. p. 10-cio czy 20-hektarowa polana, lub pole, — czy polowanie na tej enklawie należy do właściciela otaczającego je obwodu samoistnego, jak być powinno, — czy też do obwodu wspólnego, do którego reszta pól danej gminy należy? Byłoby to fatalne i uniemożliwiałoby wszelkie racjonalne wykonywanie polowania, gdyż ten właściciel enklawy, siedząc na niej wśród cudzego kompleksu, wszystkoby wytłukł.

Jeszcze gorzej przedstawia się sprawa półenklaw, gruntów obcych n. p włościańskich, otoczonych z trzech stron obwodem samoistnym n. p. lasem. Takie konfiguracje terenów często się zdarzają, że jakaś łąka czy polana długim a wąskim pasem wrzyna się w zwarty kompleks lasów, a sarny lub jelenie z lubością na nią wychodzą (oczywiście po zachodzie słońca, lub przed jego wschodem). W Czechosłowacji ustawa orzeka, że grunt otoczony w dwóch trzecich okręgiem samoistnym, jest uważany za enklawę — mojem zdaniem, jest niewystarczające dla ochrony zwierzyny i należałoby grunty okolone do połowy samoistnym okręgiem, uznać za enklawy. Na to jednak musi wogóle pojęcie enklaw istnieć i być ustaloną zazadą, że na enklawach prawo polowania bezwarunkowo do właściciela okręgu samoistnego należy. Za enklawy winny być nadto uznane obszary nawet większe niż 100 ha, o ile jednym obwodem samoistnym są otoczone. Nierzadkie bowiem są hale, połoniny w górach o większym obszarze, które leżąc wśród wielkiego obszaru lasów, byłyby tylko „dziurą w worku“, którą wszystko z danego ostępu wyciekałoby.

wiele i ze wszystkich stron, nie wytrzymały krowy... Ratując nie siebie, ile raczej młode pokolenie, rzuciły się pierwsze do ucieczki. Byk, opiekun familji, także nie wytrwał. Przestrach krów udzielił się i jemu; ruszył więc z kopyta, aby poszukać spokoju i zbawienia w dalszych ostępach, aby jaknajrychlej wyzbyć się przykrej dla niego ludzkiej woni, jaka mu do nozdrzy się wdarła i aby wyrzucić z uszu dreszczem przejmujący dziki zgiełk. Pędził w galopie, z zadartym ogonem, wprost przed siebie, miażdżąc po drodze trawę i krzaki. Z pod potężnych racic wylatywała wysoko ziemia...

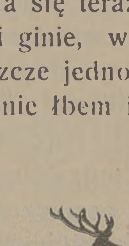
Wypadł wreszcie z gaszczu. Już widział przed sobą zbawczy ostęp, dostrzegł nawet znikające w nim krowy i zdawało mu się, że ocalenie blisko, gdy naraz usłyszał nad sobą huk straszny, podobny do grzmotu... i odczuł silny ból, niewidzialnem narzędziem zadany. Runął na ziemię. Zdawało mu się jednak, że się potknął tylko, więc powstał, aby uciekać. Poszło to z trudem...

Już biegł, chwiejąc się, dalej, gdy przed jego zamglonym wzrokiem wyrosła nagle postać ludzka... Czlowieka znał oddawna i bał go się, a wyczuwając w nim śmiertelnego wroga, nienawidził go bez miary... I zawrzał teraz na jego widok gniewem. Oczy zaszły mu krwią...

Ostatkiem sił rzucił się na niego... Zgniecie go ciężarem swego ciała, pobodzie rogami i pomści srogo wszystkie całego rodu turzego krzywdy. Aż tu nowe uderzenie wżera mu się bolesną raną w pachwinę. Dopada wreszcie wroga... ale ten cofa się szybko za drzewo.

Więc bije rogami z całej siły o pień. Cios był tak mocny, że stara jodła aż jęknęła i zatrzęsła się cała, a gruby i długi róg zleciał ze straszliwego łba, jak sucha gałązka, skrzydłem ptaka potrącona. Znowu widzi prześladowcę. Teraz go dosięgnie napewno... Już go z nóg zwala, już go chce tratować i zmiażdżyć na śmierć, gdy nowy, ogłuszający huk słyszy tuż nad uchem... i czuje straszne uderzenie w szyję. Zwala go ono na ziemię... Słania się teraz mocarz puszczy, klęka na przednie odnóża i ginie, wyrzucając z pyska fale krwawej posoki. Jeszcze jedno drgnienie całego ciała, jeszcze jedno poruszenie łbem i uspokaja się na zawsze tur mocny.

Dok. nast.



WŁADYSŁAW CZERNIEJEWSKI

W PUSTYNIACH TURKIESTANU

1902 R.

(Z ŻYCIA AZJATY)

Ciąg dalszy

Wszędzie na podnóżu Kopet-Dagu widnieją ślady starej kultury, rozwaliny obszernych osiedlisk ludzkich, zdemolowane kunsztowne „aryki“ kamienne, nawadniające kiedyś plantacje i ogrody z ogromnych murowanych, lub w skale wykutych basenów, napełnionych wodą ze źródeł górskich, lub przez ulewne deszcze. Dziś to wszystko w gruzach, a urodzajna niegdyś dolina, obecnie w bezpłodną zamieniona pustynię. Gdzie niema wody, tam niema życia i brak wszelkiej roślinności, czego najlepszem potwierdzeniem jest ta okolica, bezpłodna i wyludniona prawie. Wodę ceni się tu na wagę złota, a w rzeczywistości jest od niego droższą, bo bez niej żyć nie podobna. Studnie są pod nadzorem osobnych stróży, wydzielających dzienne porcje wody ludności i ich trzodzie.

Ludność tej okolicy stanowią przedewszystkiem krajowcy, Pekinczycy, Turkmenowie, Tatarzy, trochę Persów, jak mój Kerbelaj pochodzenia ireńskiego i niewielu pokurczeńców tatarsko-rosyjskich. Większość tej dziwnej mięszaniny ras i szczepów zajmuje się przemytnictwem cukru, herbaty, świec, zapałek, jedwabiu, dywanów, broni i amunicji. Banda z 25—50 takich oberwańców, gotowych na wszystko, nie gardzących rabunkiem, rozbojem i grabieżą, uzbrojona w dawne wojskowe karabiny Berdana, wchodzi w kolizję ze strażą kozaczą pograniczną, stacza niekiedy otwarte z nią utarczki, z których nieraz wychodzi zwycięsko. Podziwiać trzeba siłę, zręczność, odwagę i pogodę życia tych synów pustyni, gdy oni z ciężarem 60 funtowym na plecach, z ciężką bronią w jednej, a koszturem w drugiej garści, w ciemną noc wspinają się lub złażą po ścieżce, zaledwie przez zwierza przedeptanej, nad kantami skał urwistych, gdzie nie każdy góral nawet w dzień biały odważyłby się przechodzić.

Spotkałem raz Kurda, oberwańca półnagiego, zaledwie w skórznie krótkie i łapcie odzianego, z głową czerwoną szmatą owiniętą, której długie końce zwieszały mu nad uszyma jak warkocze. Trzymał w ręce długą małokalibrową, dziwerową pojedynkę lontową, zaopatrzoną w końcu podpórką widełkową, dla lepszego oporu przy strzale. Za szerokim pasem, nabijanym suto świecidełkami, tkwił cały arsenał, krzywa szabla, szeroki jatagan, zdobny puginał, parę skałkowych pistoletów. Spotkanie się z takiem indywiduum nie jest zbyt bezbieczne, osobliwie na bezludziu. Taki bubek strzela tylko do nieruchomych przedmiotów, do stojącego zwierza, a nawet człowieka, lecz strzela bez pudła i nie traci daremnie maleńkiej, miedzianej swej kulki. Pograniczni kozacy bez ceremonji strzelają do takiego górskiego włóczęgi, lecz i on nie zostaje im dłużnym i nie żałuje im kuli z ukrycia i z zasady.

Podobna walka o byt i istnienie wre tu nieustannie. Cała brygada pograniczników używa wyłącznie siwych i białych koni. Dziwiła mnie ta nieodpowiednia maść i zagadnąłem raz żołnierzy o przyczynę tego. Jeden odpowiedział mi lakonicznie: „takoj prykaz naczalstwa“, — inny dodał z uśmiechem „daby nas łuczsze kontrabanda zamieczała“. Później jednak dowiedziałem się, iż organizatorem straży był biały generał Skobelew i na jego pamiątkę dano białe konie kawalerzystom granicznym i tak dotąd pozostało w zwyczaju.

Pewien zanik górskich zwierząt w tych wyżynach Kopet-Dagu, jaki od dość dawna rzuca się w oczy górskim pasterzom trzód i myśliwym, przypisują właśnie pogranicznej straży, złożonej z kozaków syberyjskich, myśliwych i doskonałych strzelców. Ci jednakże, nie mając pojęcia najmniejszego o etyce myśliwskiej, biją zwierzęta w każdym czasie, co im pod lufę nadbiegnie, a nie przestrzegając ochronnego czasu, strzelają do kotnych matek, biją jagnięta i koźlęta „dla stoła gaspod oficerow“.

Niepokojony zwierz ciągłemi obławami i nieustannym pościgiem, strzelany z zasadzek, stopniowo uchodzi w mniej dostępne ustronia, kryje się na sąsiedniem zakordonowem terytorjum, a znajdując tam dogodne dla swego bytu warunki — a przedewszystkiem spokój — więcej nie wraca do rodzinnego, pierwotnego miejsca.

Jeden z światowych myśliwych M. W. A. tak nam opisuje swe przygody myśliwskie w górach Kopet-Dagu, które zwiedził w 1906 r.:

„Jeszcze było zupełnie ciemno, gdyśmy wyjechali z Dymitrówki (Kil-Kały) w góry. Ja na mej kobyle, Wasyl, Siedojew i Maksym na najętych podjazdkach. Droga pięła się wysoko między rozwalinami gór i stawała się coraz spadzistszą i uciążliwszą. Nagle, tuż z pod nóg końskich z trzaskiem skrzydeł, porwało się stado skalnych kuropatw, konie wylękłe nagłym ich szumem i wrzaskiem, popadały na kolana, myśmy nerwowo wzdrygnęli. Dojeżdżając do wyniosłości, gdzie moi przewodnicy spodziewali się już zastać kozły, zsiedliśmy z koni, które Maksym miał sprowadzić w dolinę i tam naszego powrotu oczekiwać. Wydostawszy się za wysoką ścianę pierwszego grzbietu skał, spotkaliśmy dwa kozły, które, zauważywszy nas widocznie, niebawem znikły nam z przed naszych oczu. Wasyl spostrzegł je o wiorstę dalej, nad zrębem dzielącej nas od nich przepaści. Przez binokle ujrzałem pyszne zwierzęta, w całej swej okazałości spokojnie stojące i nam się przyglądające. O podejściu nie mogłem myśleć, obejście i ominięcie rozpadliny wymagało kilku godzin czasu, którym, niestety, nie rozporządzałem. Z pewnym żalem porzuciliśmy piękne stworzenia i zwróciliśmy się ku dalekim płaskowzgórzom, w nadziei znalezienia tam pasącego się stada tych rogatych brodaczy.“

C. d. n.

Notatki bibljograficzne.

Leon Xiążę Sapieha: „Lasy Ituri“.

Wspomnienia z podróży.

Kraków 1928. Skład główny u Gebethnera i Wolffa. Druk Anczyca. 4° str. 202, dwie mapy, 108 ilustracyj.

Jestto opis wyprawy myśliwskiej, którą X-żę Leon Sapieha, syn ś. p. X-cia Władysława i dziedzic Krasiczyna w Małopolsce, odbył w roku zeszłym wraz ze swą małżonką, Katarzyną z hr. Potockich. Już sam rzut oka na mapę wzbudza respekt dla śmiałego podróżnika, a jeszcze większy dla jego dzielnej towarzyszki. Marszruta przecina Afrykę w poprzek, od Oceanu do Oceanu, bo rozpoczyna się u ujścia rzeki Kongo do Atlantyku, potem wije się wzdłuż równika i kończy w porcie Mombasa nad Oceanem Spokojnym. Początek i koniec tej drogi odbyty był z jaką taką wygodą, przy użyciu kolei żelaznej, samolotu lub statku. Ale jej środek, to jest właściwy teren myśliwski, przebyto pieszo wśród bezbrzeżnych lasów Konga belgijskiego, lasów krainy, zwanej Ituri. Nikt z białych księstwu nie towarzyszył. Sami na czele karawany myśliwskiej (safari), złożonej ze stu murzynów, zapuścili się w tę dzicz pierwotną, poczem na szereg miesięcy wszelki słuch o nich zaginął, tak, że wśród bliskich, jak wiadomo, zaczęto tracić nadzieję ich powrotu. Podróż, szczęśliwie jednak zakończona, trwała pół roku, rozpocząwszy ją bowiem w Antwerpji dnia 21. grudnia 1926, dopiero w czerwcu 1927 opuścili małżonkowie brzegi Czarnego lądu. Wynik myśliwski był wspaniały. Książę otrzymał od miejscowego rządu pozwolenie na odstrzał 8 słoni (licencja 4-krotnie przewyższająca regułę), miał nadto wyjątkowe prawo ubić jedną sztukę Okapi. O obfitości słoni w owych okolicach niech świadczy okoliczność, że, aby ubić tych ośm dozwolonych, wybierał książę Sapieha co lepsze byki. Wśród ośmiu par zdobytych kłów znajdują się zwłaszcza dwie pary imponujące: jedna o 98 kg., druga o 78 kg. wagi. Ta ostatnia, choć lżejsza, przewyższa cięższą parę pięknością i długością kłów (2,68 m.) Rzecz zasługugująca na podkreślenie, że na tych 8 słoni sześciu wystarczała jedna kula (z podwójnego sztucera 9,3). Dwa z nich padły od strzału, skierowanego z przodu w czoło, dokładnie w środek linji, łączącej oczy. Jestto strzał, polecany przez niektórych doświadczonych myśliwych w razie potrzeby. Miejsce to przedstawia stosunkowo mały opór, a jest równie dobre, jak punkt na wysokości oka tuż przy przednim brzegu ucha. Zwierzęcia, zwanego Okapi (przez krajowców Ndumbe), nie udało się księciu Sapieże ubić i w ogólności nie słyszał on o białym myśliwym, któryby się tem trofeum mógł poszczycić. Jest to gatunek odkryty stosunkowo niedawno. Sierści skaro-gniadej w białe pasy, przypomina z kształtów żyrafę, o krótszej szyi. Nazwa jego naukowa: Okapia Johnstoni. Opis tego rzadkiego i niezmiernie ostrożnego zwierza objaśnia autor wspaniałą reprodukcją fotografji, pochodzącej ze zwierzyńca w Antwerpji [1]). Pozatem wszystkie zdjęcia, zdobiące tak obficie książkę, wykonane były w czasie podróży przy pomocy aparatu filmowego. Nielada to trzeba było zręczności i zimnej krwi, aby n. p. na zupełnie bliski dystans filmować słonie, do których księżna podkradała się „na czworakach“ na odległość kilku kroków. Także i na strzał podchodzono do słoni możliwie najbliżej, bo strzał ponad 30 kroków uważa książę Sapieha za niemyśliwski, nie rokujący pożądanego skutku.

Ale poza scenami myśliwskiemi, poza opisami przyrody martwej i żywej, książka, którą mamy przed sobą, zawiera niesłychanie ciekawe szczegóły innego rodzaju. Znachodzimy w niej niezwykle cenne spostrzeżenia o legendarnym niegdyś szczepie małoludów, czyli Pygmejów (w języku krajowym „Wambuti„), których koczowiska rozsiane są w puszczach Ituri. Albo ponury opis doliny Semliki, t. j. doliny jednego ze źródlisk Białego Nilu, dotkniętej straszną endemją choroby snu, szerzonej przez muchę tse-tse. Albo ciekawe i radujące nas szczegóły o polskim folwarku i plantacjach kawy, założonych tam, w sercu Afryki podrównikowej, przez dwu polskich oficerów, barona Konstantego Hartingha i p. Adama Rudzińskiego. Warto czytać o fantastycznych kolejach, jakie ci dwaj ludzie przechodzili, zanim osiągnęli dzisiejsze rezultaty.

Książkę księcia Sapiehy można śmiało zaliczyć do najświetniejszych tego rodzaju zjawisk na polu literatury wszechświatowej wogóle. Jest przytem pisana stylem na wskróś oryginalnym. Obfituje on w wyrażenia jędrne i dosadne, zaczerpnięte niejednokrotnie wprost z potocznej mowy, nawet z bezceremonialnej codziennej gwary, wplątane z dziwną zręcznością w literacki opis przeżytych scen i widzianych obrazów. Ten język pozbawiony wszelkiego patosu i przesady, sprawia, że opowiadanie czyta się z rosnącem zainteresowaniem i z uczuciem prawdziwego użycia. Odpowiednio do swej szaty zewnętrznej i bogactwa ilustracyj, dzieło jest oczywiście kosztowne [2]). Byłoby więc pożądane, ażeby się pojawiło i w innem, skromniejszem wydaniu, dostępnem dla szerokiej rzeszy czytelników, podobnie jak to było z wydawnictwami ś. p. Józefa hr. Potockiego.

W. Z.

[1]) Zob. także: Domaniewski: Zarys geografji zwierząt, str. 196, jakoteż rycina 151 na str. 183.

[2]) Cena egzemplarza 50 złotych.

Kilka słów
o Polskiem Przedsiębiorstwie Ochrony Łowiectwa
św. Huberta Rzędówka — Górny Śląsk.

Pierwsze to polskie przedsiębiorstwo wprowadzone zostało w życie, celem rozwoju łowiectwa w kraju, oraz niesienia pomocy właścicielom i posiadaczom łowisk w dostarczaniu żywej i ubitej zwierzyny i dostarczaniu przyrządów łowieckich; jak żelaz skrzynek dla tępienia drapieżników i aparatów dla chwytania jastrzębi.

Zatrzaski te oraz łapki skrzynkowe mają swoją markę ochronną, a wyrabiane będą we własnym zakresie jako nowe wynalazki najodpowiedniejsze do chwytania szkodników i drapieżników. Specjalnością potrzasku jest chwytanie lisa i wilka.

Przedsiębiorstwo to, dostarcza odpowiednich środków, jak przynęty „RAPIDU i MAGNESU“, również siatek ręcznego wyrobu, do łapania bażantów.

Biuro rekomendacyjne przedsiębiorstwa, poleca personal leśno-łowiecki a także odpowiednio wyspecjalizowanych ludzi w służbie leśno-łowieckiej.

Za najważniejszą sprawę uważamy dostarczanie żywej zwierzyny na całą Polskę.

Wiadomo, że rozwój zwierzyny zależnym jest od reproduktorów z dalszych okolic, dlatego zwierzynę należy wcześniej zamawiać t. j. w październiku — listopadzie, by uniknąć niepotrzebnej zwyżki cen, wzrastającej w pełnym sezonie do 50%. Zwierzyna, którą do-

starcza Przedsiębiorstwo św. Huberta, — po schwytaniu, jest badana przez weterynarza. Dostawa odbywa się zwyczajnie w czasie ochronnym lub w terminie dostawą wymaganym. Ze względu na liczne zamówienia, należy takowe czynić jaknajwcześniej, by Przedsiębiorstwo mogło Szan. Klijentelę jak najlepiej obsłużyć.

Dzięki Przedsiębiorstwu Łowiectwa św. Huberta w Rzędówce, zagranica przekonała się, że Polskę zaliczać należy do najpoważniejszych odbiorców żywej zwierzyny.

Przedsiębiorstwo zawarło umowę z firmą R. Gudery pod Wiedniem, która z pedanterją usuwa wszelkie niedokładności przy dostawie, określa równocześnie koszta taryfowe i spedytorskie, by w ten sposób, regulując koszta dostawy — uchronić klijentelę od wygórowanych cen i rozmaitych opłat jakie dotąd w praktyce są stosowane.

Polskie Przedsiębiorstwo Ochrony Łowiectwa św. Huberta Rzędówka — Górny Śląsk, jest pierwszą tego rodzaju instytucją w Polsce. By wzbudzić zaufanie P. T. Właścicieli łowisk, Przedsiębiorstwo postanowiło solidne i akuratne spełnianie życzeń, ku zupełnemu zadowoleniu odbiorców.

Zadaniem przedsiębiorstwa jest:

a) w dalszym ciągu szkolenie personalu dla ochrony łowiectwa, hodowli zwierzyny, tępienie drapieżników i kłusowników,

b) doprowadzić do zaspakajania potrzeb, na żywą zwierzynę we własnym kraju, z polskich terenów łowieckich, — oraz czynić starania do ewentualnego eksportu na wzór firmy R. Gudery pod Wiedniem,

c) uruchomić wytwórczość: wszelkiego rodzaju łapek potrzasków, i najnowszych przyrządów do chwy„ tania, zwierzyny i niszczenie drapieżników, według wzorów używanych w niemieckich prowincjach.

Chcąc zasilić kraj zwierzyną dla odświeżenia krwi, co jest koniecznem, dla prawidłowej gospodarki łowieckiej — trzeba zwierzynę hodować u siebie w kraju.

Wielce Szanownych Czytelników usilnie prosimy o zaznajomienie się z systemem prowadzenia Przedsiębiorstwa Ochrony Łowiectwa św. Huberta w Rzędówce poczta Leszczyny, Górny Śląsk — którego właścicielem jest ALOJZY NIMPTSZKE, Polak, zawodowy leśnik, hodowca zamiłowany w łowiectwie.

Sprawy Towarzystwa

SPRAWOZDANIE

zp o siedzenia Wydziału M. T. Ł. w d. 12. października 1928 r.

Przewodniczy Prezes Juljusz hr. Bielski; obecni wiceprezesi: A. Mniszek i A. Sander; członkowie Wydziału: T. Jędrzejowicz, Dr. A. Małaczyński, E. Münter, St. Pieczykowski, Dr. J. Rosienkiewicz; zastępcy: M. Chrzanowski i Dr. Fr. Piechowski; zaproszony Ordynat Edward hr. Krasiński; prowadzący protokół W. Wesołowski

Nieobecność usprawiedliwili: H. Prek i St. Jaśkiewicz, Dr. W. Ziembicki.

Prezes poddał pod obrady pismo Zarządu Głównego Centr. Zw. Polskich Stow. Łowieckich w Warszawie z dnia 26. września 1928, Nr. 418.IX. ex 28, a Wydział po wyczerpującej dyskusji powziął jednomyślnie następującą uchwałę:

„Wydział Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego na pismo Zarządu Głównego Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich w Warszawie z dnia 26. września 1928, Nr. 418. IX. 28, o ujawnienie swego stanowiska do przemówienia członka M. T. Ł. Pana Kazimierza Wysockiego, wygłoszonego na Walnem Zgromadzeniu Towarzystwa w dniu 22. czerwca 1928, zaznacza przedewszystkiem, że na enuncjacje poszczególnych członków Towarzystwa czynione na Walnem Zgromadzeniu, nie może wywierać wpływu. Każdemu członkowi przysługuje tam bowiem swoboda głosu i tylko przewodniczący zebrania jest władny przywołać przemawiającego do porządku lub mu głos odebrać, jeżeliby jego przemówienie przekraczało formą lub treścią przepisy prawa, statutu lub obyczajów towarzyskich, wreszcie gdyby wykraczało czemkolwiek przeciw lojalności wobec Państwa. Skoro takiego przekroczenia w przemówieniu Pana K. Wysockiego nie dopatrzył się wówczas ani Przewodniczący zebrania, ani też samo Walne Zgromadzenie — Wydział nie jest właściwie kompetentnym do wypowiadania się obecnie w tych kwestjach. Toteż jest od lat dziesiątek praktykowane w M. T. Ł., że sprawozdania z Walnych zgromadzeń zamieszcza się w „Łowcu" per extensum — najczęściej na podstawie stenograficznego protokołu — a do sprawozdań tych nie dodają, ani Wydział, ani Redakcja żadnych zastrzeżeń i komentarzy.

Niemniej Wydział stwierdza, że w przemówieniu P. K. Wysockiego nie było żadnych zarzutów stawianych Ministerstwu rolnictwa, ani jakiejkolwiek wobec Ministerstwa nielojalności. Przemówienie to było, rzeczową, w dobrej wierze, podjętą krytyką nowego prawa łowieckiego i stanowiska, jakie przy powstaniu tego prawa zajął Centr. Zw. Poiskich Stow. Łowieckich.

Wydział M. T. Ł. stwierdza też z naciskiem, że stanowisko M. T. Ł. wobec Ministerstwa rolnictwa jest i pozostanie lojalnem, a dla Pana Ministra rolnictwa żywi M. T. Ł. głęboką wdzięczność za wydanie prawa, które po poczynieniu w niem pewnych zmian i uzupełnień, będzie mogło istotnie stać się trwałym fundamentem łowiectwa polskiego. Mając bowiem na oku stosunki łowieckie na obszarze całego Państwa, ustawa ta stanowi znaczny postęp i w tym względzie Wydział M. T. Ł. nie podziela zapatrywania P. K. Wysockiego, jakoby ona była jakiemś cofnięciem.

Wreszcie Wydział M. T. Ł. stwierdza, że przyjazny stosunek M. T. Ł. do C. Z. P. St. Ł. nie może ulegać

wątpliwości choćby dlatego, że M. T. Ł. w przeważnej mierze przyczyniło się do zrealizowania idei związku łowiectwa polskiego i że Prezes jego jest zarazem Prezesem Centralnego Związku. Jest szczerem życzeniem M. T. Ł., by pewne tarcia i dysonanse, powstałe w ostatnich miesiącach między temi instytucjami, jedne i te same cele mającemi, zostały rychło usunięte.

Zdziałają to niewątpliwie pewna wzajemna wyrozumiałość i zrozumienie stanowiska Centrali do ogółu łowiectwa polskiego, a M. T. Ł. do poważnego odłamu tegoż łowiectwa“.

Z żywem zadowoleniem przyjęto do wiadomości reskrypt Wydziału Bezpieczeństwa publicznego Województwa krakowskiego z dnia 13. września 1928 r. L. B. P. 833/5/28, według którego Ministerstwo Spraw wewnętrznych reskryptem z dnia 30. czerwca 1928, Nr. A. A. 1952/I, przychyliło się do stanowiska M. T. Ł. i orzekło, że Oddział Towarzystwa opierać się może na tym statucie, który przyjęty został przez centralę M. T. Ł. i że zatem brak podstawy do żądania, by Oddział Towarzystwa w Krakowie miał statut odrębny od statutu M. T, Ł., którego ma być Oddziałem.

Delegatami zamianowano: Dr. Józefa Ausobskiego w Chyrowie w powiecie starosamborskim.

W poczet członków zostali przyjęci: Jerzy Bahr w Regulicach p. Alwernia i Jan Mikotte w Porębie — Żegoty p. Alwernia powiat chrzanowski.

Komunikat.

Na podanie w sprawie ochrony kuropatw i bażantów z 31. VIII. br. L. 1152. otrzymało Małopolskie Towarzystwo Łowieckie z Województwa Lwowskiego do wiadomości następujący okólnik:

Urząd Wojewódzki Lwowski L. SA. 12190 ex 1928. Ochrona kuropatw i bażantów, We Lwowie dnia 30. września 1928. Do Starostwa w Rzeszowie. — Małopolskie Towarzystwo Łowieckie we Lwowie zawiadomiło tut. Urząd Wojewódzki, że oddział rzeszowski Towarzystwa Rolniczego ma zakupić większą ilość zatrutej pszenicy, rozdać jej później włościanom i polecić, aby rozsiewali ją po polach dla wytrucia myszy, co zagrażałoby poważnie kuropatwom i bażantom, narażając je na masowe wytrucie. — Należy przeto pouczyć powyższy oddział, aby do tępienia myszy użył innych środków j. n. p. szczepienie tyfusu mysiego albo też polecił włościanom wsypywać zatrutą pszenicę do dziur mysich, a nie rozsypywać po polach. — Równocześnie należy pouczyć w odpowiedni sposób ludność, któraby na własną rękę chciała łowić myszy, aby we własnym interesie, chroniąc swój inwentarz od zagłady, zatrute ziarna pszenicy wsypywała do dziur mysich, a nie rozsypywała je po polach. — Za Wojewodę: *Leurman*, wr.

Z Wydawnictw.

„Łowiec Polski“ Nr. 31. zawiera:

Rzewuski Adam: Sylwetki myśliwych dawnego autoramentu; Garczyński Walenty Włodzimierz: Moda i wyżeł; Pietrusza Bronisław: Nieco o bąku; Nowacki Wacław: W puszczach peczory; Sl S.: Celownik lewooczny; O. J.: Przegląd prasy zagranicznej; Z. Zw. Pol. Stow. Łow.; Delegaci powiatowi; Z Wielkopolskiego Związku Myśliwych; Łuczyński W.: Z Tow. Łow. Wojew. Wileńskiego. Wystawa psów; Kronika myśliwska; Sprawy bieżące.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.

Z Drukarni Narodowej, Lwów Szajnochy 2. — Tel. 21-35.